

JULIUSZ PONIATOWSKI  
Warszawa

### B. GAŁĘSKI: CHŁOPI I ZAWÓD ROLNIKA

PWN, Warszawa 1963, s. 162

Zadawniona już u nas rzadkość publikacji naukowych dotyczących zawodu rolnika pozostaje w stałej dysproporcji ze znaczeniem jakie ma praca rolnika w życiu naszego narodu. Ostatnio usiłujemy niekiedy kwitować ten problem statystycznym stwierdzeniem, że rolnictwo stanowi już tylko około  $\frac{1}{4}$  całości produkcji narodowej — ale w gruncie rzeczy wiemy, że niczym nie można zachwiać podstawowego miernika socjalistycznej ekonomii, miernika pracy, a oto wciąż około 40% pracy naszego narodu to właśnie rolnictwo.

Ze szczególnym przeto uznaniem należy spotkać książkę B. Gałęskiego — „Chłopi i zawód rolnika”. Uznanie to potęguje zarówno ambitne postawienie celu pracy, jako poszukiwanie *nowego źródła sił wytwórczych* w formującej się zawodowej więzi rolników, jak i piękny przegląd dotychczasowych doktryn o dokonywujących się przemianach rolnictwa.

Ustawiając problem nie w płaszczyźnie definiowania i konstatowania **stanu rzeczy**, a raczej jako diagnostyczne przewidywanie **drogi rozwoju**, czyni już autor wielki krok naprzód. Wiemy przecież zbyt dobrze, jak ogromnie różnorodną jest dzisiejsza rzeczywistość drobnego rolnictwa, jak różnym i jak sprzecznym tendencjom podlega wieś, jako zbiorowisko rodzin chłopskich — abyśmy zbyt sobie cenili mniej lub więcej szczęśliwie wyważoną, niby jakąś średnią arytmetyczną, syntezę dzisiejszych, falujących układów. Nawet idealna ocena chwilowego stanu, w układzie pozbawionym równowagi, nie na wiele się może przydać. Natomiast dopiero odszukanie i ujawnienie tej siły motorycznej, która dziś może jeszcze słaba, ale jutro rokuje wielki rozrost — budzi nasze prawdziwe zainteresowanie.

Toteż gdy autor stawia zagadnienie: „Jeśli zróżnicowanie pod względem posiadania środków produkcji nie jest dziś na wsi polskiej podstawą formowania się sił społecznych — to czy podstawą taką może być zawód?” (s. 70), gdy nazywa to „ponętną hipotezą” (s. 42), to od razu czujemy falę świeżego powietrza i gotowimy się iść za autorem w głąb zawilego labiryntu domniemań i poszukiwań.

Aby ułatwić czytelnikowi orientację generalną o przeszłych lub jeszcze aktualnych etapach studiów nad socjologią rolnictwa, prowadzi nas autor pewną ręką poprzez gęstwinę doktryn i rzekomo nie wzruszonych praw, gromadzonych kolejno od półtora wieku. Należy w pełni docenić, jak

systematycznie chroni podstawową zasadę nauki marksistowskiej o względności prawdy, o przemijaniu praw rządzących społecznością ludzką, w miarę przekształcania się zbiorowości i narastania innego typu sił społecznych. Szczególnie wyraziście został ujęty proces koncentracji kapitału w rolnictwie, „którego efektów nie można szukać tylko w zmianach wielkości gospodarstw chłopskich” (s. 26). Punkt ciężkości zostaje przeniesiony na nowe i dominujące obecnie zjawisko — wpływu na wieś socjalistycznego uprzemysłowienia.

Z kolei parę uwag krytyczno-polemicznych, ale wciąż z tego samego źródła wspólnego dociekania do jądra rzeczy. Ukazując „ponętą hipotezę” odnalezienia nowej siły społecznej w rodzącej się świadomości zawodowej rolników, autor przyjmuje, że należy wstępnie osiągnąć dostatecznie precyzyjne określenie zawodu rolnika. Z całą słuszością stwierdza, że winno nastąpić „skierowanie badań na stosunki produkcyjne na wsi” (s. 6).

Niestety, dalszy wysiłek biegnie innym torem. Uwaga zostaje skupiona na cechach gospodarstwa rodzinnego. Procesy produkcyjne zostają w analizie przesłonięte przez konsumpcyjne cele rodziny i to do tego stopnia, że czytelnik otrzymuje wrażenie, iż za najsilniejszą więź rodzinnego gospodarstwa winna być uznana wspólna **obsługa własnego spożycia**. A przecież wiemy dobrze, że istotę spistości rodzinnej stanowił ośrodek produkcyjny. Czy w rodzinie rzemieślniczej, czy w drobnokupieckiej, czy zwłaszcza w rolniczej, każdy członek rodziny od dziecka wzrastał w krąg swoistego podziału pracy i obowiązków wobec wspólnego ośrodka pracy. O wiele mocniej łączył rodzinny proces produkcyjny, niż fakt bezpośredniego konsumowania części wytworów. Spistość rodzinna kruszy się dziś raczej pod naporem różnorodności zajęć, a więc i różnicy zainteresowań, niż jako skutek kurczenia się czy nawet zanikania samostarczalności konsumpcyjnej. Mówiąc inaczej — schyłek trwałości wielkiej chłopskiej rodziny zjawia się przed nami przede wszystkim jako rezultat uprzemysłowienia, w szerokim jego pojęciu, a więc jako skutek obdarzenia wsi **łatwością wyboru** innej pracy niż rolnicza, łatwością tworzenia przez młodych nowych ognisk rodzinnych, a porzucania smutnej roli „wyczekiawcza” na spadek po ojcu itd.

Wysuwając na czoło konsumpcyjne cele rodzinnej gospodarki, autor używa przykładu chłopów-robotników. Chyba niesłusznie. Tam zachodzi zasadnicze pomniejszenie nakładów pracy, a więc wycofywanie się ze wspólnej produkcji. Nabiera ona w pewnej mierze cech szczytkowych, staje się głównie domeną kobiety, a więc i uzupełnieniem gospodarstwa domowego. W rezultacie nawet najbardziej staranna analiza powiązań rolnictwa z gospodarstwem domowym nie przybliży nas do określenia zawodu rolnika.

Sądzą, że podobnie daremną musi się okazać nadzieja, że zawód rolnika nabierze wyrazistości, gdy ulegnie niejako oczyszczeniu przez wydzielenie poszczególnych pomocniczych czynności do odrębnych grup zawodowych. Zapewne, że wydzielenie prac rzemieślniczych, a później transportu, przetwórstwa itd. sprzyja skonsolidowaniu czynności ściślej rolniczych, ale tym niemniej jeszcze ich nie określa. Pozostałość to nie jest ani sama czynność administracyjno-gospodarcza, ani zabiegliwość rodzinno-opiekuńcza głowy rodu. Istnienie zawodu medycznego nie zostało zachwiane

ani przez wydzielenie dentystyki, ortopedii itp., ani przez zastosowanie finezyjnej techniki pomocniczej w operacjach czy w diagnozach.

Gdy przeto autor jest skłonny nawet kwestionować odrębność „zawodu rolnika” i twierdzi, że sprawa „nie polega na technologicznej odmienności pracy rolnika, lecz na jej cechach społecznych” (s. 46) — to sądzę, że należy przeciwstawić mu pogląd, że to tylko niedomagania naszych metod analitycznych nie pozwoliły ustalić dotychczas prawdziwego oblicza nowoczesnego zawodu rolniczego. Czyż nie należy szukać go przede wszystkim w bliskim braterstwie z innymi zawodami, również opartymi na biologii i podobnie pielęgnującymi rozwój organizmów żywych? Czyż nie jest jasne, że dokąd będzie ciążył nad nami XIX-wieczny mit dopatrywania analogii rolnictwa z zawodami przemysłowo-mechanicznymi i adowania czynności manipulacyjnych, jako istoty rzeczy, na wzór przerabiania materii martwych, dopokąd niefortunny termin fabryk zboża, czy mięsa zachowuje urok, a marzenia o „zniewalaniu przyrody” górują nad zamiarem rozumnego z nią współdziałania — dopotąd zawód rolniczy załóżnie i bezdomnie tuła się po świecie.

Ufabrycznienie rolnictwa rejestruje tymczasem wątpliwe sukcesy oddalania rolnika od reżyserii procesów przyrodniczych, przy równoczesnej niemożności wtłoczenia go w abstrakcyjną systematyczność przemysłowego tempa maszynowego. Gdyby już było konieczne budowanie jakiejś analogii pracy rolnika do prac przemysłowych, to można by ją odnaleźć dopiero na szczeblu obsługi bardzo skomplikowanego automatu. Mamy tam bowiem nie jakiś prymitywny podział pracy i „taśmowe” zdegradowanie człowieka do roli kółka w maszynie — a wyraźne nadanie pracownikowi charakteru ustawiacza i opiekuna złożonego procesu, który przebiega w powierzonym mu aparacie. Wciąż jeszcze nie dość zbadany, wciąż jeszcze tajemniczy aparat rośliny, czy zwierzęcia wymaga naturalnie od swego opiekuna szczególnie rozległej wiedzy. Tradycyjne mniemanie o łatwości i prostocie pracy rolnika staje się dziś jawnym anachronizmem.

Podjęte przez autora poszukiwanie w zawodzie rolnika nowej siły społecznej, zdolnej do przekształcania rzeczywistości, nie byłoby uwiecznione powodzeniem, jeżeli ten zawód, nawet najlepiej sprecyzowany, zechcemy traktować w izolacji. W społeczeństwach europejskich, skromna i **wciąż malejąca liczebność** tego zawodu odbiera wszelką szansę odegrania przezeń samotnie jakiegokolwiek poważniejszej roli w przemianach społecznych. Dopiero w zespole całej grupy zawodów, polegających na ochronie, pielęgnacji i rozwoju żywych organizmów, można by odnaleźć nową siłę społeczną, zdolną do przeciwstawienia się powierzchownie pojętej, a tak dziś jednostronnej technizacji życia i dałoby się utrzymać równowagę korzystną dla rozwoju ludzkości. Byłoby to w pełni zgodne z tym wspaniałym etapem rozkwitu nauk biologicznych, w który właśnie wchodzimy.

Zbliża się chyba braterstwo broni między rolnikami, ogrodnikami, leśnikami, weterynarzami, rybakami itp., a także medykami, higienistami, pielęgniarzami wszelkich typów, oraz przyrodnikami — oświatowcami itp., byłoby ono owocem ich rosnącej świadomości zawodowej. Badania socjologiczne na tej drodze będą miały zapewne nie małe znaczenie.

Wreszcie należy podjąć parę wątpliwości metodycznych. Autor słusznie przywiązuje wielką wagę do liczebnego obrazowania badanych zja-

wisk. Ilościowe zestawienia zebranych faktów lub ankietowych wypowiedzi podbudowują zazwyczaj bardzo silnie dokonywane przez autora oceny. Ale zamiłowanie do liczb może prowadzić i do ulegania pokusie arytmetycznej ścisłości zupełnie pozornej.

Gdy komentując rezultaty ankiety o głównych potrzebach gospodarstw, autor nie poprzestaje na grupowaniu odpowiedzi według procentu ich częstotliwości, ale daje arytmetyczną tabelę punktacji, stosując mnożniki 3, 2, 1 do grup potrzeb uznanych za pierwszo- drugo- lub trzecioplanowe (s. 82) — to sądzić można, że do bardzo prawdopodobnej przypadkowości hierarchicznego grupowania deklarowanych potrzeb został jeszcze dołączony całkowicie dowolny mnożnik. Już sam charakter ankietowych pytań musi w danym wypadku nasuwać czytelnikowi myśl, że odpowiedzi rolników nie mogą wyrażać ich potrzeb porównywalnych abstrakcyjnie, więc liczbami, a dadzą refleks realnej oceny „korzyści” na tle istniejącego kaźdocześnie układu stosunków. Jeżeli np. „dokupno ziemi” ma niską ocenę wśród szeregu inwestycji, to wiemy dobrze, że jest to związane z silnie postępowym podatkiem gruntowym, jeżeli „budynki gospodarcze” prawie dotrzymują pola „domowi mieszkalnemu”, to jest to wynik realnego przystosowania do łatwiejszego kredytu na pierwsze, jak na dom itd. I gdy dalej do tego materiału chwiejnych opinii zastosujemy jeszcze dowolne mnożniki, otrzymamy wprawdzie szereg liczb, ale chyba najmniej użytecznych.

Tabela punktacji może mieć za swe uzasadnienie bodaj jedynie to, że taka metoda „bywa stosowana”. Sądzę, że należy życzyć socjologii polskiej, by unikała tej przesadnej ufności do arytmetyki, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z zestawem **opinii**. Wnikliwy kometarz analityczny, którego liczne przykłady znajdujemy w książce, zdaje się być o wiele bardziej celowy.

Na zakończenie dodać należy, że książka Gałęskiego nie tylko porządkuje szereg gromadzących się w naszych głowach informacji badawczych, nie tylko pobudza do myślenia o niezwykłości przemian zawodu rolniczego, ale uczy nas nadto koniecznej skromności, okazując jak mało jeszcze wiemy o nowej postawie człowieka w nowoczesnym rolnictwie i jak tę najbardziej zasadniczą i narastającą przemianę pozwalamy nieraz przed sobą maskować przez demonstrowaną skorupę raczej powierzchownych innowacji technicznych.